

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Pieśń polskiego dziecka.

Jestem polskie dziecko, Boże Tobie chwała!
Polska nasza ziemia, ta mnie wychowała.
Z macierzyńskiej piersi święty zapal ssalem,
Od ojca przykłady męstwa odebrałem.

Jestem polskie dziecko, polskiego plemienia.
Czystej przodków wiary i ze krwi i tchnienia.
Uczucia wraz z życiem wzięłem pracowite,
Miłość bliźnich, Boga, mam w sercu wyryte.

Jestem polskie dziecko, rodu słowiańskiego,
Idę wszędzie śmiało, nie boję się złego;
Kocham to co nasze, jako mi Bóg miły,
Choćbym miał wysączyć krew z ostatniej żyły!

Jestem polskie dziecko, nie na próżno żyłem,
O Sobieskim Janie z młodu się uczyłem,
Co jak w niebo westchnął i wasa poprawił,
To Niemców i całe chrześcijaństwo zbawił.

Jestem polskie dziecko, męczenników plemię,
Co dla świętej sprawy krwią zbroczyło ziemię,
Ziemie Europy, ziemie Ameryki; —
Świadkiem są narody i stare kroniki.

Król i wójt.

Powieść z lat dawnych.

przez

Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

Niespodziewane widowisko uderzyło nagle
oczy patrzących.

Oto trzciny, które się otarły o brzeg i łódki,
raptem, jakby złamane, upadły, a jednocześnie
łódź, niby laską czarodziejską tknięta, przewró-
ciła się gwałtownie do góry dnem, i nawpół pi-
jani Niemcy, z przerwaną na ustach piosnką hu-
laszczą, wpadli w wodę.

Zapluskali w niej silnie rękami i nogami i
wnet zaczęli tonąć.

Siedzący na innych łodziach z krzykiem rzu-
cili się im na ratunek. Atoli zaledwie wjechali
między zrzadka wyrastające nad powierzchnię
wody trzciny, gdy naraz i im wywróciły się ło-
dzie z impetem wielkim, niby podziemną podrzu-
cone siłą.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — sze-
pnął Dąbek, zacierając ręce. — Czary, czary!

— Mazurscy nurkowie to zrobili! — rzekł
Piętka, pokręcając węża. Dali początek, zaraz
tu lepsze ujrzymy rzeczy! Patrz jeno, patrz! już
wszystkie łódki wywrócone, Niemcy pływają, psie
szelmy, jak pecherze!... Sprawni do wszystkiego,
nie chcą tonąć. Łacniejby im wisieć przystało!

Uciekł, bo koń zestrząsnął mu się i w bok
skoczył, jak szalony. Zaledwie powstrzymał go
żelazną prawicą. Spojrzy, aż tu z drzew rozło-
żystych, cienistych, ludzie zbrojni zlatują na zie-
mię, jak gruszki z gałęzi strząśnięte. Prawie na
każdym większym drzewie siedziało ich po kilku,
zaś na stuletnich konarach dębów i sosen po kil-
kunastu.

Byli to prawie sami młodzi kmiecie, w zgrze-
bnych siermięgach, z błyszczącymi toporkami,
siekiernkami, widłami i kosami w ręku.

W jednej chwili rzuciło ich się kilkuset na
tylnie szeregi bezpiecznie przepływających się
wojsk wacławowskich i okrutne w nich zamiesza-
nie sprawiło. Śmierć zaczęła przerzedzać nie-
szczęśliwych najemników.

Lśniący wąż, wyciągnięty przez rzekę, nagle
rozerwał się w połowie. Część przednia rzuciła
się nagle na brzeg przeciwny i zaczęła się

Nr 11-1536574

szykować do boju. Z prawej strony puszczy, z za niewielkiego, sosną porośniętego, piaszczystego wzgórza wysunął się oddział rycerstwa w stal zakutego i zacząwszy okrzykiem prastarej pieśni „Bogarodzico!” uderzył na nieprzyjaciela. Na czele tego oddziału jechał rycerz w świetnej, mieniącej się w promieniach słońca zbroi.

— Przez Bóg żywy! — zawołał Stach — toć że to Jaśko z Góry!

— Czas i nam jąć się szabli! — rzekł Piętka i ruszył koniem ku rzece, z której na brzeg kwiecisty, jak ólbrzymie szczupaki, wyskakiwali zręcznie nurkowie mazowieccy. Każdy trzymał długą trzcinę w ręku i padłszy na brzeg chwilę chciwie wciągał w płuca orzeźwiające powietrze leśne.

Było ich kilkudziesięciu, którzy z tej strony rzeki na brzeg się wydostali.

Mając kamienie, przywiązane pod pachami i trzymając w ustach długie, puste wewnątrz trzciny, mogli oni czas dłuższy przebywać na dnie rzeki i w danym razie napaść na przepływających żołnierzy waclawowskich.

Sposób ten znany był od dawien dawna mieszkańcom pobrzeży rzek większych na Mazowszu i w innych ziemiach słowiańskich.

Niemcy i Czesi, jakkolwiek kilkakrotnie liczniejsi od tych, którzy na nich tak niespodziewanie natarli, z początku zmieszali się i ustępować zaczęli.

Wielką tego przyczyną był brak wodzów, którzy z wywróconych łodzi wpadli do rzeki i pociągnięci na dno przez nurków, będąc w ciężkich zbrojach, śmierć tam znaleźli.

Wnet atoli Niemcy zaczęli się dzielić na niewielkie hufy, oddzielnie konni i piesi. Bóg zawrzał zacięty z obu stron rzeki.

W puszczy zagotowało się, zawrzało, jak w chmurze gradowej. Wypadali w niej ludzie, uzbrojeni w maczugi, widły, cepy i kosy, odziani w płowe, mazurskie siermięgi. Wpadli oni z zaciętością wielką na pochylone ku nim dzidy nieprzyjacielskie i zwyciężając, ginęli pod wprawną ręką żołnierzy. Zbite, nieporuszone jak mur szeregi najemnych z głębi ziem germańskich wojaków, raziły ten kmiecy lud i potokiem waliły u nóg swoich. I jakkolwiek ze wszech stron puszczy przybywało go coraz to więcej, najemnicy niemieccy zwyciężali.

Stach Dąbek i Piętka od kilku chwil już walczyli, rzuciwszy się w wir boju.

Nadzieja zwycięstwa zablasyła im w oczach, gdy nagle ujrzeli mnóstwo łodzi nadpływających niespodziewanie z prądem rzeki i napełnionych zbrojnymi łucznikami. Ci chmurą strzał zasypali Niemców i Czechów, zgola na to nieprzygotowanych. Żelazne szeregi zaczęły się przerzedzać, zmuszone walczyć z nieprzyjacielem, który ze wszystkich stron je otoczył.

Ogłuszające okrzyki niemieckie napełniły powietrze, a echo w głębi puszczy tysiącnie je powtarzać zaczęło.

Jakiś niezwyklej siły rycerz niemiecki, w ciemnej zbroi, bez szyszaka, który strzaskał mu siekierą chłop mazowiecki, skoczył na Dąbka. Jak burza niespodzianie w bok mu zajechawszy, grzmotnął go ciężkim toporem po pancerzu, który pękł zaraz jak łupina orzecha. W rozpędzie rumak Niemca tak silnie uderzył konia Stachowego, że ten przyklął na przednie nogi, a jeździec straciwszy równowagę, zwałł się na ziemię. Z szybkością błyskawiczną wydobyl Niemiec długi miecz obosieczny, aby nim przeszyć leżącego na ziemi młodzieńca, atoli nie dopuścił tego Piętka. Silnem uderzeniem szabli odbił cios Niemca i przypadłszy doń, oburącz chwycił za bary i mocować się z nim zaczął. Wkrótce obaj padli z koni na ziemię. W tej chwili przebiegła po nich żywa fala nadciągającego wciąż z głębi puszczy chłopstwa i zajadle walczących z sobą rozdzielili.

Gdy Dąbek i Piętka w czas jakiś dzwignęli się z ziemi, ujrzeli, że Niemiec leżał obok w swej ciężkiej zbroi, a z rany na czole krew mu się sączyła. Walka oddaliła się od nich, jak huragan, pełen gromów i błyskawic. Rycerz niemiecki widać, że rannym był jeno, bo gdy Dąbek zbliżył się do niego, chwycił zaraz za nóż krótki, zawieszony u boku.

Teraz dopiero młodzieniec przypomniał sobie, że twarz Niemca nie była mu obcą, że niegdyś widział ją już, jeno nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy.

Tymczasem Piętka przytłoczył nogą usiłującego dzwignąć się rycerza i rzekł groźnie:

— Poddaj się lub śmierć cię czeka!

— Oszczędź mnie! — odrzekł chrapliwie Niemiec — wielki mistrz Zakonu krzyżackiego wdzięczny ci za to będzie.

— Ktoś jest?

— Rycerz Ditmar von Szwert.

Dąbek podskoczył.

— Na Boga! — zawołał z radością — toć to zacięty wróg naszego pana! Zatrzymajmy go żywym lub umarłym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wygnańcy w lesie.

Powieść z angielskiego

przez R. M.

Pierwszy dzień podróży minął prędko i przyjemnie, pod wieczór przybito do brzegu na nocleg. W miejscu gdzie wylądowano, las był nieco rza-

dszy, a olbrzymie pnie drzew wznosiły się w nieco dalszych odstępach, ale o kilkaset kroków dalej od brzegu gęstwina leśna zdawała się być nieprzebytą. Z puszczy dochodziły głosy zwierząt nocnych. Wrzaski małp nie przstraszały zbytnio podróżnych; ale ryk jaguara, który od czasu do czasu górował nad chórem innych głosów, dreszczem zgrozy ich przejmował. Aby się zabezpieczyć od napaści jaguara, Guapo ułożył wielkie ognisko od samej rzeki w kształcie półkola, aby nie dopuścić dzikiej bestyi. W hamakach, zawieszonych między drzewami, ułożono się do snu, ale mężczyźni mieli kolejno odbywać straż dla większego bezpieczeństwa. Leonek jako najmłodszy pierwszy miał czuwać. Po upływie dwóch godzin Guapo miał go zastąpić.

Leonek usiadł obok hamaku, w którym spoczywała jego siostra; dwa nabite pistolety leżały przy nim, aby mógł wypalić w razie potrzeby. Chłopak czuwał pilnie całe pół godziny, spoglądając raz na rzekę, to znów na las, od którego dochodziło tysiące głosów tworząc hałas prawdziwie piekielny. Nagle wszystko się uciszyło, zapanała głęboka cisza, przerywana tylko brzęczeniem komarów i od czasu do czasu jęklwym krzykiem ptaka, zwanego duszą pokutującą. Leonek uczył nieznosną senność — byłby niezawodnie usnął, nie zważając na olbrzymie pająki, węże i inne żyjątka, zamieszkujące puszcę w nieprzebranej ilości, ale myśl, że czuwa nad bezpieczeństwem innych, nie pozwoliła mu się zdrzemnąć ani na chwilę. Poszedł do rzeki, umył się i znów usiadł pod drzewem, gdy krzyk Leonki oprzytomniał go zupełnie. Podniósł oczy i dojrzał, że hamak siostry kołysał się lekko, ale ona spała snem głębokim.

— Zapewne przyśniły jej się węże i jaguary — pomyślał Leonek, ale spoglądał wciąż na hamak, z którego wyglądało niezakryta nóżka Leonki. Przyglądając się tej nodze bacznie dojrzał, że od wielkiego palca, aż do pięty przez całą długość stopy spływała cieniuchna czerwona struga. Niebawem poznał, że to była krew. Przerażony chciał wołać na ratunek, ale wstrzymał się przez ostrożność, aby krzykiem nie rozdrażnić niewidzialne zwierzę, które może ukryło się w hamaku. Wziąwszy pistolet do ręki, powstał cichutko, o ile mógł najciszej i pochylony nad hamakiem, szukał w jego fałdach ukrytego zwierzęcia. Nic jednak nie znalazł. Leonka spała cicho, a przez myśl chłopca przebiegła myśl straszna, czy to nie było ukąszenie węża?

W tej samej chwili usłyszał jakby nieuchwytnie szelest skrzydeł, coś zbliżonego do lotu puszczyka, jednak nie był to puszczyk; Leonek czuł raczej niż słyszał ruch skrzydeł jakiejś istoty, która krążyła nad jego głową i muskała mu włosy. Obróciwszy jeszcze raz spojrzenie na nogę Leonki, zadrżał całym ciałem, bo ujrzał potworną jakąś istotkę [zawieszoną] nad hamakiem i chciwie wysysającą krew z nogi dziewczynki, czarne złośliwe

oczy i białe ostre zęby polyskiwały w cieniu. — Przy świetle ogniska można było dobrze widzieć rudą sierść, która pokrywała ciało tej wstrętnej istoty i wielkie błoniaste skrzydła. Leonek poznał w tym zwierzęciu wielkiego nietoperza wampira i uspokoił się zupełnie. Wampir, chociaż się żywi krwią, ale nie jest jadowity, ofiary jego umierają dopiero po pewnym czasie z utraty krwi, gdyż wampir powraca co noc i z tej samej rany krew wysysa. Leonek zabił wampira wystrzałem z pistoletu i tem obudził siostrę i całą rodzinę. Noga została obandażowana, ale Leonka cierpiała na nią dni parę.

Czepiaki. — Nieoczekiwany gość.

W drugim dnia podróży zrobiono około trzydziestu wiorst. Daleko jeszcze było do wieczora, więc można było dalej płynąć, ale ponieważ napotkano dogodną miejscowość do noclegu, więc Guapo zatrzymał tratwę i wszyscy wysiedli na brzeg. Kiedy zabrano się do wieczerzy, jakiś niezwykły hałas zwrócił uwagę całej rodziny; były to zmieszane krzyki, wycie, szczekanie i szczebiot, do czego dołączyło się jeszcze trzeszczenie suchych gałęzi i szmer liści.

Hałas ten sprawiło wielkie stado małp, zwanych czepiakami. Małpy te dosyć są duże, niezmiernie brzydkie i tem się odznaczają, że ogon mają bardzo długi, silny i chwytny. Czepiają się one temi ogonami gałęzi, zwisają głową na dół, huśtają się i w tem położeniu śpią, a nawet po śmierci wiszą uciepione na swych ogonach, dopóki nie staną się pastwą termitów lub zwierząt drapieżnych.

Czepiaki, po przybyciu do miejsca w pobliżu obozowiska naszych podróżnych, zawisły na gałęziach, świergocąc pomiędzy sobą. Widocznie była to narada. O czem radziły czepiaki niebawem się przekonano, gdyż poseskakiwały z drzew i w sposób bardzo niezgrabny, stąpając na zaciśniętych pięściach, poszły w stronę, gdzie rosła kępa wysokich palm. Palmy obciążone były wielkimi gronami dojrzałych owoców, ale zerwać je było trudno, gdyż pnie pokryte były ostremi kolcami. Małpy spoglądały chciwie na smaczne owoce i przemyślały widocznie nad tem, jakby ich dostać bez pokłócia się.



Skamieniały owczarek.

(Podanie ludowe.)

Rzecz dzieje się w Wielkopolsce, należącej dziś do Niemców, we wsi Konarach.

Przy trakcie, z Jutrosina do Miejskiej górkii wiodącym, leży wieś rycerska Konary, niegdyś włość dziedziczna, a niewątpliwie kolebka rodziny Konarskich. Po dziś dzień spoczywają tu jeszcze zwłoki śp. ks. Biskupa krakowskiego, Jana Konarskiego, w podziemiach pod wielkim ołtarzem. Biskup ten odbudował spalony, drewniany kościółek w 1525 r. i wystawił nowy. Prawdopodobnie przyozdobił ściany tego kościoła, jak to wskazują zabytki pod tynkiem, odnalezione przy odnowieniu.

Minawszy wieś, na skrócie do Sobialkowa jest miejsce nie wielkie wprawdzie, ale za to na wiosnę lub latem nader uroczne. Z obu stron drogi są stawy, po stronie lewej zarosły trzciną, która gdy lekki wietrzyk ją poruszy, zdaje się, iż szmerem chciałaby, niby matka piosnką dziecie, zatrzymać wędrowca i do snu kołysać, i po prawej stronie drogi również niewielki staw. Woda jego czysta spada ze śluzi do stawu sąsiedniego, zasilając go zbytkiem wód swoich. Pieści i ona twe ucho swym szumem, jakby chciała mocniej szem echem odpowiedzieć na pieśń w sąsiedztwie kołyszącej się trzciny. Staw zewsząd otoczony gajem wierzb. Sliczny to zakątek. Tuż przy brzegu stawu wznosi się dębowy krzyż z wizerunkiem Christusa Pana, poczerńiały, pochylił się mocno, ależ ile to nastąpiło zmian od czasów, jak go pobożni ojcowie tu postavili?

O kilka stóp od krzyża spoczął zapadły w ziemię kamień, podobny do kadłuba ludzkiego, któremu odcięto ręce pod ramienia, zostawiając tylko głowę. Zapytasz, co to za kamień? Każdy pastuszek, każde dziecko odpowie ci:

— To owczarek...

Podanie niesie, że tu przy stawie, gdzie dotąd nie wielkie pastwisko dla owiec, bo uprawa resztę zmieniła w bajne prodzajne lany, na których złote chylą się kłosa pszenicy, pasło dwóch owczarków dworskich owce. Jeden z nich, wzięwszy ze sobą w pole chleb czarny żarnowy, począł na tem miejscu nad chlebem wymyślać i rzucać nim o ziemię. Wreszcie bierze kamień, a kładąc chleb na drugi począł go bić, tłuc kamieniem i wołać nieustannie:

— Idź, morusie i obmyj się!

Lecz, o dziwo! Naraz ustały wołania i pastwienie się nad darem Bożym. Drugi owczarak, przypatrujący się niegodziwcowi, spostrzega, że w miejscu, w którym stał jego towarzyszy, stoi człowiek, ale skamieniały! Zdjął go niewysłowny strach, zostawia tedy owce, biegnie do dworu i opowiada z przerażeniem, co się przed chwilą stało. Owczarek zniknął na zawsze i nikt go od tam nigdy nie widział; pozostał jedynie kamień dotąd widzialny. Jak niesie podanie, po dwakroć brano kamień i niesiono go na ementarz, ale kamień w niewidzialny sposób wracał w nocy na swoje miejsce. Zaniechano tedy, uważając w tem palec Boży, umieszczenia go na ementarzu, zosta-

wiając na miejscu, na którym do dziś dnia się znajduje. Jak najstarsi ludzie twierdzą, miał dawnemi czasy w ręku łopatę owczarską, guziki przy kamizelce, kobzę, ale peotnicy wszystko potłukli i poniszczyli z biegiem czasu. Kamień widocznie się powoli zapada, jak zrobił to spostrzeżenie ks. Fligiński, przebywający tu od lat ósmiu. Może za lat kilkadziesiąt zniknie z widowni zupełnie i zapadnie się, a wtedy ludzie powiedzą, że skończył się owczarka czas pokuty za popełniony grzech przeciw zdaniu modlitwy Pańskiej: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.“

Tak Pan Bóg karze, gdy kto darem Jego gardzi, prawda, iż nie zawsze zaraz i tak surowo, jak na przykład ukarał nieposłuszeństwo żony Lota, zamieniając ją w słup soli, ale kara nikogo nie minie, kto gardzi, wymyśla, krzywi się i wybredza w darach Bożych.

ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Pierwszy wyraz i początkowe litery, czytane z góry na dół, składają nazwisko sławnego króla polskiego.

Znaczenie wyrazów:

- 1) S
- 2) Zabawa, wyprawiona dla żniwiarzy.
- 3) Nazwisko króla.
- 4) Imię żeńskie.
- 5) Rzeka w Niemczech.
- 6) Inaczej ogród.
- 7) Przyimek.
- 8) Spójnik łączny.

II.

Pierwsze i trzecie
W sieci znajdziecie —
Jest ich tam dużo.

Drugie i trzecie drobnym spręcikiem.
Skrzynkom, koszykom
Nakryciem służą.

Wszystka — bezbronne, dobre stworzenie
Daje nam odzież i pożywienie,
Gdy nieprzyjacieli zbliża się do niej.
Tapaniem nóżką tylko się broni.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 4.

I.

SALEP.